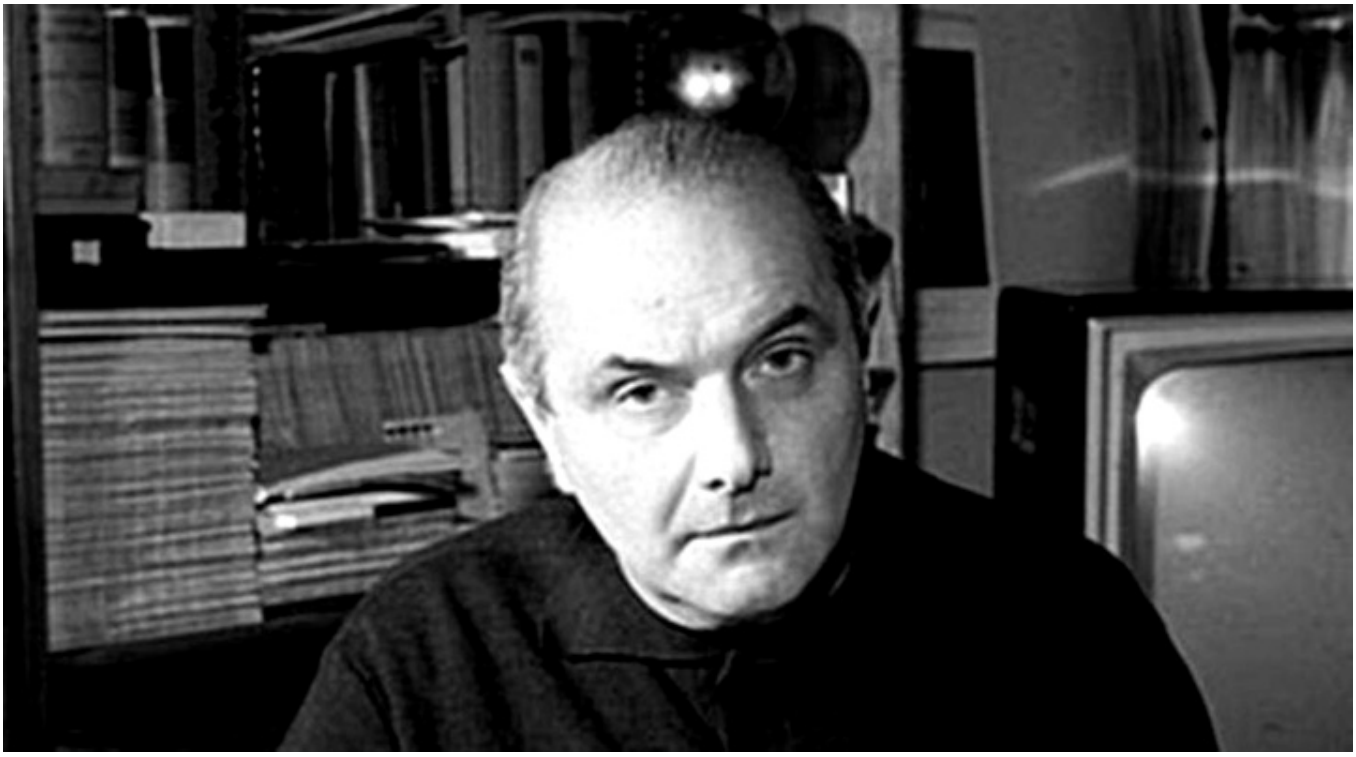
Hece z Lecem (1909-1966)



Stanisław Jerzy Lec

Florian Śmieja

W Maladze w 1975 roku poznałem lekarkę z Warszawy. Konwersacja zeszła na wspólnych znajomych. Wspomniałem

Leca i to, że po raz ostatni rozmawiałem z nim w 1966 roku. Telefonowałem wtedy do szpitala. „To do mnie pan telefonował. Lec leżał u mnie”, stwierdziła.

Miesięcznik „Kontynenty”, który redagowałem w Anglii zorganizował Lecowi w Londynie w 1963 roku wieczór autorski w sali Instytutu im. Gen. Wł. Sikorskiego. Publiczność dopisała. Pamiętam jak następnego dnia wędrowaliśmy razem po mieście, aby między innymi, kupić wygodne zamszowe buty. Parę lat później w Zakopanem wyjechawszy na Gubałówkę, niespodziewanie natknąłem się na odpoczywającego na trawie poetę. Opowiedział mi wtedy zabawną historię, jaka mu się zdarzyła. Kiedyś do jego stolika przysiadł się nieznany osobnik z poufałym odezwaniem: „My się znamy”. Kiedy Lec odpowiedział przeczącym ruchem głowy, nieznajomy wyjaśnił „Pracujemy od lat razem. Jestem pańskim cenzorem”. Ponoć po śmierci Leca pod jego poduszką znaleziono karteczkę z sentencją: „A to heca, nie ma Leca”.

„Myśli nieuczesane” ugruntowały pozycję Leca u czytelnika polskiego i rozniosły jego imię po całym świecie. Posypały się przekłady na ponad tuzin języków. W Niemczech jego aforyzmy zrobiły zawrotną karierę. Karl Dedecius, który je znakomicie przełożył, nie znalazł w Warszawie wiary, gdy mówił, że rozeszło się pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Dziś ta cyfra wygląda wprost niewiarygodnie: 40 wydań i 500 tysięcy.

„Myśli nieuczesane” tak zwana mała forma, to aforyzmy wzięte z życia, z sytuacji polskiej i z literatury. Umysł Leca, subtelny i wrażliwy na odcienie językowych możliwości, pozostawił nam tysiące „myśli” uskrzydlonych, skrzących się dowcipem, błyskających erudycją, frapujących paradoksami, bawiących skojarzeniami, a smagających tchórzy, hipokrytów i głupców. Do pasji musiał nieraz doprowadzać ludzi o ograniczonym poczuciu humoru waląc na odlew prawdami oczywistymi dla każdego, a których nie dało się żadnym paragrafem utrącić. Dla zwolenników ostrej cenzury, Lec był autorem bardzo niewygodnym. Tacy bowiem chcą artystę ubezwłasnowolnić, ograniczyć do roli muzykanta brząkającego na zamówienie. Ma on bawić i omamiać, lecz nie, broń Boże, niepokoić i zdzierać maski z durniów!

Politykom nadużywającym cierpliwości ludzkiej rzekł, że „Ci, którzy mają ideę w gębie, mają ją zazwyczaj i w pobliskim nosie” oraz, że „Czasem sztywna postawa jest wynikiem paraliżu”. Łaknącym poklasku odburknął: „Nie dziw się, że kto nie pachnie, lubi, by mu kadzono”. Donosicielom szczególnie często dostawało się od Leca: „Najlepiej podstawiają nogi karły, to ich strefa”.

Zauważyliśmy już na wstępie, że aforyzmy Leca powstawały z refleksji nad życiem, z jego absurdami i ironią, z zadumy nad człowiekiem i jego sytuacją w świecie i u innych. W naszej

emigracyjnej sytuacji nie bez znaczenia były takie powiedzenia jak: „Kto nie chce być zaszufladkowany, niech gotuje swoją trumnę”. A wskazanie: „Gdyby niejeden wypuścił ster z ręki, mógłby się puknąć w czoło”, zdaje się być stworzone dla dożywotnich prezesów pod każdą szerokością geograficzną. U nas tym bardziej nie straciła na wadze bystra obserwacja: „I wygasłe kratery jeszcze zieją. Zawiścią”. Albo i takie spostrzeżenie: „Nie każdy pasterz pędzi swe owieczki, by się pasły na wyżynach ducha”. Nie trudno też zgadnąć, że poeta pił do różnych naszych Baranowic mówiąc: „Prowincja umysłowa – usiłowanie myślenia z dala od mózgu”.

Nie wiedząc nic o wydanym w Argentynie po hiszpańsku tomie „Myśli nieuczesanych”, dokonałem własnego wyboru i przekładu. Kolumnę pt. „Polonesa no brillante” wydrukowałem w miesięczniku „Estafeta Literaria” (Madryt, 2.7.1966) a tomik zatytułowany „Pensamientos desmelenados” nakładem Universidad Autónoma de México ukazał się w roku 1985. Czerpały z niego następnie pisma meksykańskie i kolumbijskie.

I tak Lec, który miał ambicję być poetą lirycznym (skarżył się, gdy liryki, które mi dał do druku umieściłem na ostatniej stronie naszego pisma), a był satyrykiem w czasach mało sprzyjających krytycznemu spojrzeniu, pod koniec życia uznany został przez świat za niezrównanego mistrza małej formy, za znakomitego twórcę aforyzmów, które weszły do skarbca literatury i choć

gorzka kropla piołunu zawarta jest w niejednym, na długo pozostaną wśród ważnych porzekadeł, bo nic nie wskazuje na to, by ludzie i świat mieli się wnet drastycznie zmienić.

Boże Narodzenie na Śląsku i w Kanadzie



Zofia i Florian Śmieja z rodziną przy wigilijnym stole w domu w Missisaudze.

Florian Śmieja

Niewiele mi zostało wspomnień świątecznych z dawnych lat. Na Śląsku te wielkie dni zwane były godami, a bohaterem było Dzieciątko, nie żaden Mikołaj czy anieli. Ono przynosiło prezenty pod choinkę. Prócz karpia czy lina z ziemniakami i kapustą kiszoną bywała u niektórych moczka, koniecznie makówka, potrawa z bułki, maku i mleka. Tradycyjną gorzką zupę siemieniotkę, z siemienia konopnego długo gotowanego i rozgniatanego tłuczkiem, podawano z kaszą gryczaną zabielaną mlekiem. Jej gorzki smak pasował ją na iście postną potrawę i nie lubiłem jej.

W Kanadzie zasiada do wigilijnego stołu tuzin osób w tym Słoweniec, Włoszka i Ukrainka. Wnuki nie znają języka polskiego. Tym niemniej zachował się zwyczaj łamania opłatkiem przed zupą, którą jest zawsze barszcz z uszkami faszerowanymi grzybami. Te uszka są wielkim przysmakiem więc robimy je i w innych okolicznościach. Karpia zastępuje nieraz łosoś. Wśród ciast faworytem jest strucel z makiem. Po Wilii wszyscy śpiewamy kolędy polskie z dodatkiem angielskich.

Na końcu najmłodsza z gromadki gra rolę aniołka i rozdaje podarunki leżące pod choinką.

Piewca Beskidu Śląskiego. Paweł

Łysek (1914-1978).

Florian Śmieja



Paweł Łysek

Przeglądam kilkunastoletnią korespondencję ze zmarłym w Nowym Jorku pedagogiem i pisarzem Pawłem Łyskiem. Wracają dawne lata, poznanie w Londynie, a potem gościna w jego

amerykańskiej rezydencji *Beskid Ranch* na Long Island; wreszcie odwiedziny jego skromnego domu rodzinnego w Jaworzynce i grobu na cmentarzu w Istebnej.

Paweł urodzony w 1914 roku w Jaworzynce, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1935-39. Po wybuchu wojny zbiegł przed poszukującą go policją niemiecką na Węgry, przedostał się stamtąd na Wyspy Brytyjskie i wstąpił do Polskiego Wojska. Kiedy skończyła się wojna, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie podjął studia bibliotekarskie. Jako bibliotekarz i wykładowca pracował na *City University* w Nowym Jorku od 1952 roku do swojej śmierci w 1978.

Pierwsze próby literackie przerwała wojna. Łysek nie odłożył jednak pióra zupełnie: pisał sumiennie pamiętnik, który miał później wydać w dwu tomach pod tytułem: „Z Istebnej w świat" (1960) oraz „Poszło na marne" (1965). To w tych książkach opowiedział koleje ucieczki na Zachód, swoją służbę wojskową, niezłomną wiarę w zwycięstwo słusznej sprawy, choć jednocześnie nie taił rozgoryczenia do aliantów, którzy nie wywiązywali się z zaciągniętych wobec Polski zobowiązań. Absolutna szczerość relacji i ich prostota, to wielkie zalety jego wspomnień i obserwacji zwyczajnego żołnierza uwikłanego w największy konflikt naszych czasów. Prawda tych tekstów jest oczywista, a bije z niej nieugięty idealizm młodego pokolenia Polaków wychowanych między wojnami.

W wydawanym przed laty piśmie młodych w Londynie omówiłem książki Łyska. Był mi za to wdzięczny i namawiał dyskretnie, bym napisał recenzje do publikacji bardziej znanych, jak „Wiadomości" Grydzewskiego czy „Kultura" Giedroycia. Przebywając w Stanach Zjednoczonych czuł się nazbyt oddalony od tych dwu znakomitych pism ukazujących się w Londynie i w Paryżu. Polubił też moje „poetyckie pióro":

> Bo to już ten poetycki styl zawsze lepiej okrasi nawet rzecz, która nie grzeszy specjalną wielkością. Oczywiście z pokorą przyjmę i wszelkie ujemności i niedoskonałości napisane szczerze, jak to winno być w każdej bezstronnej krytyce.

Mimo, że był człowiekiem nieśmiałym i nie miał doświadczenia z promocją książek i do tego własnych, rozumiał dylemat recenzentów.

> ...Pisanie omówień nie jest rzeczą specjalnie przyjemną, a zwłaszcza, gdy się osobiście zna autora; bo z jednej strony nie chce się urazić osoby, a z drugiej trzeba jednak kierować się obiektywizmem. Zdaję sobie też sprawę, że „Z Istebnej w świat" było rzeczą ciekawszą i więcej emocjonalną; zaś „Poszło na marne" – gdzie akcja odbywa się na dalekich tyłach – nie mogła tak bardzo zainteresować czytelnika –

> pisał w liście.

Czytając gwarą przetykane narracje, zarzuciłem mu bodaj nieuporządkowanie języka. Mało zdawałem sobie wówczas sprawę z tego, że przecież autor musiał się zmagać z płynnym zjawiskiem, gwarą nieskodyfikowaną, bez ustalonej gramatyki, słowników i innych wzorców, daleko od ludzi tym dialektem się posługujących.Niemniej Łysek od tych początków zajął się językiem bardzo intensywnie i zrobił w kolejnych publikacjach ogromne postępy.

Zachęcony ukazaniem się drukiem wspomnień, zwrócił myśl z kolei ku rodzinnej ziemi, ku górom w których się wychował i jej mieszkańcom. Zaczął pisać sceny i obrazki z życia górskich wsi używając gwary coraz śmielej. Tak powstał tom „Przy granicy” (1966). Pochwaliłem nową tematykę Łyska a on pospieszył z zapewnieniem

> …Jest Pan w części odpowiedzialny za urodziny tego dziecka.

Wiem, że także Kazimierz Wierzyński radził mu trzymać się tematyki beskidzkiej, szczególnie, kiedy zapoznał się z „Przy granicy”. W tej książce oglądamy panoramę trzech wsi: Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa. Ich odrębność w mowie, stroju i

obyczajach znalazła w Łysku najpilniejszego kronikarza, który je z pietyzmem odnotował i niejedno ocalił od zapomnienia. Pokazał bogaty, tradycyjny rok na wsi: skubanie pierza, wilię, prządki, obrzędy wielkanocne, przednówek, wesele, odpust, dożynki, różne święta, starte podania i przesądy. Książka okraszona piosenkami kończy się mocnym akcentem martyrologii górali w czasie okupacji.

Łysek znalazł się wreszcie w swoim żywiole, podjął właściwy temat, który okazał się rogiem obfitości rozpierającym swoją formę. Może dlatego Łysek dostrzegł z kolei możliwości powieści osadzonej w tym bogactwie i tak powstało „Twarde Żywobycie Jury Odcesty".

Małorolny góral wraca z wojska austriackiego i szykuje się do ożenku i założenia rodziny. Inteligentny choć bez wykształcenia, ciężko pracuje, by zapewnić byt swoim. Nie jest obrotny, ma zbyt wiele skrupułów, nie umie przedkładać zysku nad wszystko inne. Prowadząc karczmę nie potrafi zapomnieć o tym, że rozpijanie górali nie powinno być ceną lepszej doli jego rodziny. Kiedy wchodzi w spółkę, by handlować bydłem, pada ofiarą nieuczciwego wspólnika. Zostaje na koniec owczarzem, a postradawszy zmysły dostaje się do zakładu, z którego ucieka, aby umrzeć we własnym domu i mieć gazdowski pogrzeb.

Ta opowieść o górach, w których znalazły się szczegóły z życia

ojca autora, przypomina nam także historię pierwszych osadników Beskidów, wplata ludowe podania i gadki, raz po raz rozbrzmiewa pieśniczkami, wśród których są autentyczne teksty samouka Jana Probosza.

Powieść jest umiejętnie skomponowana, przysłowia stanowią tytuły rozdziałów. Gwara pokazuje nieznane oblicze śląskiej ziemi. Obrazowanie jest oszczędne, naturalne, najbliższe rzeczy. Przekonywująca robota pisarska sprawiła, że nie powstaje banał.

Powieść jest owocem twardej walki Łyska: ze sobą, z miękkością spojrzenia i tendencją do popadania w łatwą ludowość; z językiem – z pewną obcością literackiej polszczyzny ustawicznie podważanej przez bliższą jego sercu gwarę nieokiełznaną rygorami mowy pisanej; z wydawcą i czytelnikami – żeby ich przekonać do niezwyczajnej tematyki, stylu i języka.

Znajdziemy w niej pamiętne strony, czujemy, że ostatnia zabawa w zamykającej się karczmie, ostatnia muzyka, jest lamentem i trenem na przemijanie i odmianę życia beskidzkich górali. Serdeczną tęsknotą autora, górala rzuconego w inny kamienny świat.



Paweł Łysek z góralami, fot. arch. F. Śmieji.

Moje pisanie w podobnym tonie spotkało się z żywą aprobatą Łyska. Zrozumiał, że udało mi się wyczuć „duszę” jego twórczości.

> Bo zakątek to piękny, a lud dobry i poetyczny. Szkoda, że ząb czasu, system i inne wpływy niedobrej cywilizacji niszczą to wszystko, co wieki zbudowały. I to było jednym z celów mojej książki, by świat ten – jego zwyczaj i obyczaj ratować choć w książce.

W tym samym liście autor doniósł, że wysłał do Giedroycia, do Paryża nowy maszynopis powieści „Marynka, cera gajdosza".

> Książką tą chciałem zamknąć moją trylogię beskidzką i szukam na nią wydawcy. Oby się rzecz „uzdała" Giedroyciowi, choć wątpię, by to wydawał, bo pisząc do mnie, spodziewał się, że rzecz będzie miała szersze podłoże polityczno-społeczne, a w rzeczywistości tak nie jest.

Już kilka lat wcześniej w roku 1970 namawiając mnie do napisania recenzji „Twardego żywobytu…" Łysek objaśniał:

> …Jest to druga książka mojego cyklu beskidzkiego (czy epopei beskidzkiej – jak to nazwali i Most w Polsce i Kowalewski w Londynie); pierwsza książka z tej serii była „Przy granicy", druga, „Jura Odcesty", a trzecia będzie „Roztomiła Marynka". Akcja ostatniej rozgrywa się w

> Beskidzie i na Zaolziu. Tak chyba wyczerpałbym tematykę beskidzką.

Łysek nabrał zaufania do mojego odczytywania jego twórczości. powieściowej, wiedział, że może liczyć na sympatyzujące opinie dotyczące roli gwary, a wiedział, że opisywane ziemie nie były mi obce, a tym bardziej egzotyczne. Zwierzył się, że długo się zastanawiał, czy mnie nie poprosić o napisanie wstępu do „Marynki", która się miała ostatecznie ukazać w Londynie w serii biblioteki Polskiej Fundacji Kulturalnej. Zwrócił się więc do W. Oszeldy z Cieszyna, otrzymał szkic, który mi przysłał z adnotacją:

> Chcę byś miał to w całości, bo Sakowski to pewno skróci, jako że rzecz jest nieco za długa. Jest to ładnie napisane, ale może za wiele jest pochwał pod moim adresem. Ale Oszelda to bardzo romantyczny człowiek i wielce zakochany w Beskidzie.

Kiedy na jesieni 1973 roku wyszła „Marynka" Łysek przysyłając mi egzemplarz i cytował opinię wydawcy, Sakowskiego, wyrażoną Marii Danilewiczowej, że to jego najlepsza książka, lepsza od „Jury". Nic więc dziwnego, że autor bardzo się uradował i prosił mnie o opinię uważając, że jestem, jak się wyraził, „specjalistą od moich śląskich powieści i opowieści".

Nawet spytał wprost:

> Czy nie uważasz, że może moja „Marynka” byłaby lepsza do przedruku w Kraju? Oczywista, to wcale nie dowodzi, że tam cokolwiek wydadzą, bo nad Szewczykiem jest cenzura i sto innych urzędów.

Myśl tę powziął na wieść, że Oszelda rozmawiał z Wilhelmem Szewczykiem, redaktorem szeregu śląskich czasopism społeczno-kulturalnych, pisarzem i publicystą oraz obrońcą śląskości przed próbami internacjonalistycznego równia i rugowania regionalnych cech i tradycji.



Koronczarki z Koniakowa, 1970 r., fot. E. Poloczek.

Opowieść o Ślązaczce z wiejskiej biedoty była zamierzona jako zamknięcie cyklu o tematyce beskidzkiej. Nie przypominam już sobie, co autorowi na jej temat powiedziałem, bo w tym czasie miałem kłopoty z otrzymaniem egzemplarza książki, a potem w ferworze wyjazdu z całą rodziną na rok do Europy (do Polski i Hiszpanii) straciłem orientację i rachubę czasu, tak że nie zdołałem spisać w terminie swoich odczuć i urwała się nasza korespondencja.

Tadeusz Nowakowski, nie znający stron Łyska poświęcił „Marynce” dłuższe omówienie. Zauważył, że niskie pochodzenie jego protagonistki dało autorowi uczulonemu na dolę ludu sposobność do ewokacji klimatu moralnego przedwojennego Śląska po obu stronach Olzy (fabuła toczy się za młodości narratora), zobrazowania psychologii i mentalności tubylczej, ukazania barwnej panoramy folkloru, obyczaju, świata wierzeń, ocalenia wielu pieśniczek, reliktów obrzędowych, przysłów, powiedzonek i rarytasów językowych przed zapomnieniem.

Po napisaniu trylogii góralskiej Łysek przypomniał sobie jeszcze temat zbójnicki. Jego bohaterowie idą wprawdzie w ślady słowackiego Janosika i jego śląskiego odpowiednika Ondraszka, ale nie przestają być prawymi synami jego górskich dziedzin. Ich barwne życie biegnie równocześnie naturalnym trybem. Do lasu pędzi ich los, lecz dobra natura nie pozwala na wyuzdanie. Każdemu z tych beskidzkich młodych, kryjących się w lasach przed poborem do wojska austriackiego, przyświeca ideał, by jedynie uszczknąć trochę bogactwa zachłannego handlarza. Łup pozwala im przetrwać do czasu, kiedy ustaje łapanka i nadarza się okazja, by osiąść w jednej z przygranicznych wsi, ożenić się z wierną dziewczyną i na powrót stać się częścią gromady. Zbójnicy często nie tylko zabierają bogaczom, ale wspierają nędzarzy i zabezpieczają byt nieszczęśliwych.

Nie odzierając swoich postaci z romantycznej aury, Łysek

pokazuje, że zbójnikiem stawał się skrzywdzony sierota, dezerter z wojska, owczarz w wieku poborowym, który ukochał wolność w górskich ustroniach i z lubością słuchał opowieści i śpiewek o zbójnikach. Nie dziwi więc pogodne zakończenie książki.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji. Fotografia ukazała się na Culture Avenue jako ilustracja wywiadu Ewy Wielgosz z prof. Florianem Śmieją na temat Józefa Wittlina.

W trzech książkach stanowiących trylogię góralską, Łysek ustrzegł się powtórzeń, słownictwo stało się naturalne, stosowne i oczywiste, a zdolne olśnić. Wiele poezji znajdziemy w opisach góralskich sytuacji dzięki delikatności omówień, wdzięcznemu

oddaniu nawet scen drastycznych, ciągłej świeżości opisów. Nie było zresztą na śląskiej wsi wulgarności tak często szpecącej inne regiony Polski. Książka o zbójnikach gorzej mu się udała. Jakby była resztówką, materiałem zbyt skąpym, nie przetrawionym, zbyt pośpiesznie wtłoczonym w ramy książki. Zbytni w niej pośpiech i towarzyszące mu niedociągnięcia formalne.

Ostatnie siły poświęcił pracy nad przekładem książki „Przy granicy" na język angielski. Robił to wraz ze studentami. Wysiłek to był ogromny. Oszelda napisał wstęp. „Rzecz jest napisana szumnie i romantycznie, stąd tyle trudności w tłumaczeniu". Chciał mojej pomocy, ale respektował moje zajęcia, a zależało mu bardzo na pośpiechu, bo opuszczały go siły.

Nie doczekał ukazania się angielskiej wersji „Przy granicy". Zmarł na raka, z którym się zmagał przez trzy lata, w szpitalu w Huntington. Po śmierci ubrano go w czerwony góralski *bruclik*, ciało spopielono, a prochy pochowano na cmentarzu w Istebnej.

W swojej korespondencji ze mną rozpisywał się o swoich książkach i sposobie ich promocji. Wydawcy nie mogli liczyć na zyski ze sprzedaży, więc zazwyczaj zobowiązywali autorów do udziału w kosztach wydania. Ten koszt mógł się zwrócić, choćby częściowo, w miarę jak się książka sprzedawała.

Krytycy emigracyjni uważali za swój ważny obowiązek promowanie nowych wydawnictw. Publikacje Łyska przyjmowali ciepło, taktownie, jako ciekawe, nieznane, czy zgoła egzotyczne narracje pisane osobliwym językiem. Dostrzegając dobre chęci autor szukał jednak zrozumienia i pokrewnego odczucia. Znajdował je w Polsce m.in. u W. Oszeldy. Polubił także moje omówienia, gdyż wyczuł w nich sympatię dla gwary i znajomość terenu, o którym pisał. Kiedy np. Tadeusz Nowakowski poświęcił „Marynce" obszerny artykuł, Łysek ocenił go jako tekst bardziej rozgadany i efekciarski niż właściwy. W liście do mnie komentował, że krytyk ów pisze z werwą i barwnie, ale gdyby całość ścisnąć, to niewiele by z artykułu zostało. Nie mogły też – rzecz jasna – podobać mu się aluzje do skansenu i małe zrozumienie dla gwary i lokalnych obyczajów.



Koniaków, fot. pinterest.

Z listów wyziera człowiek zajęty i doceniany na uczelni pedagog. Wiemy, że ucząc swoich studentów wpajał w nich nie tylko wiedzę o Polsce, ale i respekt, a nawet miłość do niej. Przejęty swoim pisarstwem przynoszącym mu pierwsze sukcesy zabiegał o dalsze powodzenie werbując recenzentów, gromadząc cierpliwie materiały, szlifując nieustannie język. Wiedział, czego szukał, niemniej przeto chciał się upewnić. Pragnął zjednać czytelników i krytyków swojemu odrębnemu światu i osobliwemu językowi. Intensywna aktywność jeszcze wzrosła w miarę jak choroba zamiast mijać, stawała się bardziej groźna.

W liście z 3 maja 1977 roku donosząc o pertraktacjach z „Oficyną Poetów i Malarzy” w Londynie w sprawie angielskiego wydania „Przy granicy” dodał:

> Spieszę się z tym wszystkim, bo przy mojej chorobie człowiek nie wie, co nastąpi w najbliższej przyszłości.

Planował równocześnie wyjazd do Polski, a na jesieni chciał wystąpić w Toronto na wieczorze autorskim. Ciężkie operacje kazały mu jednak zaniechać ambitniejszych planów. Inny list, z 22.2.1978, był zwięzły i pisany ręką. Zaczynał się od słów:

> Łódź mego żywota dobija obcych, ale już ostatecznych brzegów.

Zawiadamiał przezornie:

> Nie wiem wiele jeszcze listów otrzymasz ode mnie. Nie licz na wiele.

W P.S. jednak dodał charakterystycznie:

> Liczę, że napiszesz też coś do prasy polonijnej lub kanadyjskiej, dobrze?

Do końca choroba zmagała się z potrzebą przekazania pamięci o rodzinnej ziemi jak najpełniej i najdoskonalej. Kiedy wreszcie zmogła go śmierć, dzieło było gotowe. Baca sprowadził swoje owieczki do bezpiecznej doliny.

Przebywanie w oku najostrzejszych przemian społecznych i kulturowych, w metropolii tętniącej nowościami czasu, Łysek paradoksalnie znalazł sprzyjającą przystań, która mu pozwoliła na spokojne kontemplowanie utraconej młodości spędzonej w górskiej oazie. Z trucizny nostalgii czerpał życiodajne soki umożliwiające mu powrót do raju na kartkach swoich książek. Zamiast zagubić się w zgiełku i bazarze wielkiego świata, stał się pilnym kustoszem i zachowawcą szczęśliwego wieku niewinności ludzi i przyrody rodzinnych stron, ukochanego Beskidu Śląskiego.

Wielki polski blef



fot. pinterest

Florian Śmieja

Ponieważ dobrą historyjkę można opowiedzieć wiele razy, ja także to, co wam opowiem, relacjonowałem kilkakrotnie. Lecz za każdym razem jest ona nieco inna, niepewna pamięć jest o niej mniej przekonana, bledną szczegóły i gubią się, choć nie zmienia się aura oraz zdumienie czytelnika i słuchacza.

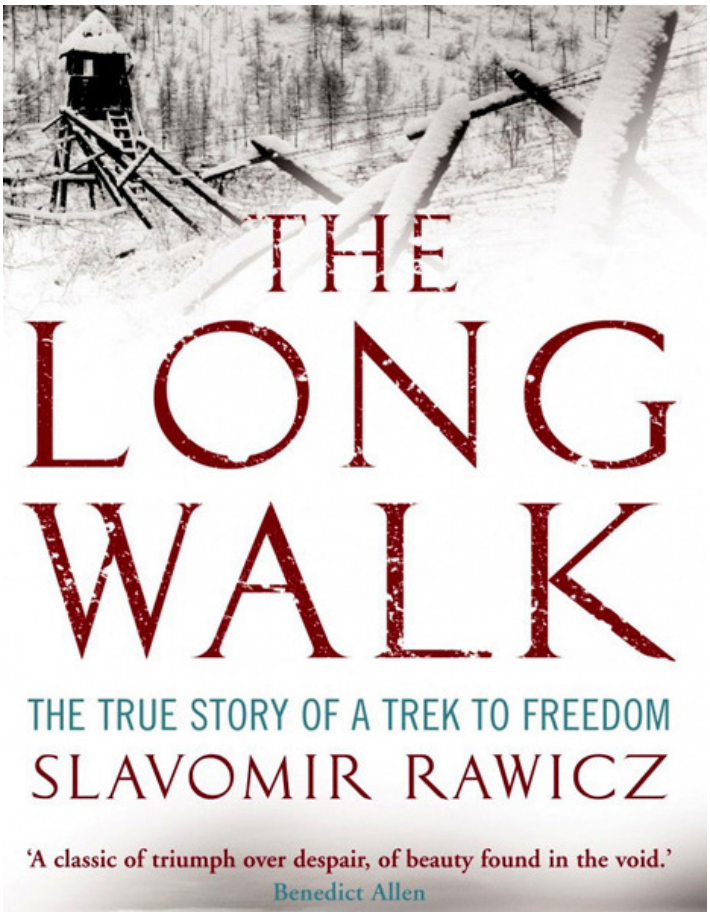
W latach sześćdziesiątych byłem wykładowcą literatury i języka

hiszpańskiego na angielskim uniwersytecie w Nottingham. W tym mieście położonym w środkowej Anglii wychodząca w Londynie gazeta „Dziennik Polski” zorganizowała doroczny w owym okresie wybór Miss Polonii. Jakimś trafem zostałem dokooptowany do jury, które miało wybrać najszykowniejszą Polkę. Zapamiętałem, że w skład pań wchodziła autentyczna angielska lady oraz popularna piosenkarka Renata Bogdańska inaczej mówiąc, generałowa Andersowa. Wśród mężczyzn frapował tajemniczy Sławomir Rawicz, intrygujący bohater głośnej książki „The Long Walk” czyli „Długiego marszu”. Nie mogę sobie darować gapiostwa, tego, że nie przypatrzyłem mu się dokładniej, bym go mógł dzisiaj rzetelnie opisać.

W tamtych latach wywołał on w Wielkiej Brytanii sensację, jako protagonista rewelacyjnego reportażu. Przedstawiono go w nim jako polskiego oficera kawalerii aresztowanego przez Sowietów w listopadzie 1939 roku i skazanego na 25 lat ciężkich robót.

Pociąg z transportem więźniów, wedle tych relacji, jechał trzy miesiące na wschód. Warunki i ciężka zima pochłonęły wiele ofiar. Obóz 303 wedle załączonej do książki mapy, leżał na południowy zachód od Irkucka. Mimo tych ogromnych odległości, Rawicz zaczął myśleć o ucieczce. Wtajemniczył w swój plan kilka osób, Polaka, Litwina, Łotysza, Jugosłowianina i Amerykanina. Puścili się w szaleńczą drogę. Przy jeziorze Bajkalskim dołączyła do nich Polka, Krystyna. Przekroczyli tory kolei transsyberyjskiej

i weszli do Mongolii. Podczas upalnego sierpnia przebyli pustynię Gobi. Tam z wycieńczenia zmarła Krystyna, a po niej, jeden z mężczyzn. Omijali miasta, jedli węże, żeby przeżyć. Droga wiodła rubieżami Chin do Tybetu. Widmowe postacie szukały u Tybetańczyków żywności i schronienia. Przebyli szczyty Himalajów i dotarli do Indii. W szpitalu w okolicy Kalkuty potem powoli wracali do zdrowia.





Rawicz po licznych przesłuchaniach, dostał pozwolenie, by dołączyć do wojska polskiego stacjonującego w Iranie.

Podyktował swoją opowieść dziennikarzowi angielskiemu Ronaldowi Downingowi. Dramatyczny wyczyn wywołał w Wielkiej Brytanii ogromne poruszenie. Książka rozeszła się w półmilionowych nakładach, ukazały się przekłady na dwadzieścia kilka języków. Eksperci od Dalekiego Wschodu nie mogli wyjść ze zdumienia. Nie wierzyli, by grupa więźniów mogła dokonać tak niebywałego wyczynu. W telewizyjnych i radiowych spotkaniach z Rawiczem bez końca dyskutowano i kłócono się o szczegóły, kwestionowano i zaprzeczano. Protagonista

usprawiedliwiał się i wikłał w zeznaniach, bronił się, ale wielu sceptyków nie przekonał. Odezwały się liczne głosy niedowiarków, ale książka sprzedawała się znakomicie. Po czasie, kiedy strony nie potrafiły dojść do zgody, empiryczni Anglicy radzili przenieść w bibliotekach książkę z działu „autobiografii" do „beletrystyki".

Bohater epopei zmarł w 2004 roku. Dochodzenia wykazały jednak, że Rawicz wyszedł z wojskiem polskim ze Związku Sowieckiego na zasadzie amnestii w 1942 roku i żadnego rewelacyjnego marszu nie dokonał, a inny Polak, Witold Gliński, ogłosił w maju 2009 roku, że to on był właściwym protagonistą książki.

Niemniej fantazja i tupet Rawicza już w 1955 roku zwróciły uwagę i zainteresowanie na Zachodzie na okryte tajemnicą realia sowieckiego kolosa, o którym wnet potem zaczęły krążyć intrygujące plotki i domysły, aż do jego ostatecznego zdemaskowania i upadku.

Otrzymany czas musisz godnie przeżyć. Henryk Mikołaj Górecki (1933-2010).



Henryk Mikołaj Górecki, fot. voiceseducation.org

Florian Śmieja

> GÓRECKI
>
> Po latach szukania w sobie natrafił
>
> na fortunną aberrację, napisał
>
> arcydzieło uznane przez cały świat

> jako piętno geniuszu, apogeum
>
> smutku rozdzierającego serce, żar
>
> obnażenia dumnej ludzkiej kondycji.
>
> I takim go odtąd zapamiętamy.

Stefana Kisielewskiego poznałem w Londynie, gościłem w swoim domu w Kanadzie i parę razy odwiedziłem w Warszawie.

Pamiętam, że w bibliotece domowej redaktora „Związkowca” w Toronto przeczytałem przewrotny wpis Stefana Kisielewskiego: „Bumkowi Heydenkornowi, jedynemu prawdziwemu miłośnikowi muzyki jakiego znam”.

Ze Stefanem Kisielewskim rozmawiałem także o muzyce. Byłem ciekaw, kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił Henryka Mikołaja Góreckiego (1933-2010). Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałosnych podbiła świat. Stała się rewelacją, bo będąc utworem muzyki klasycznej uplasowała się niespodziewanie na pierwszym

miejscu popularności na świecie.

Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w kalifornijskim Palm Springs, lokalna amerykańska rozgłośnia radiowa złożyła Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowała jego sławną symfonię, w której Amerykanka, Dawn Upshaw, piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy.

Wtedy poczułem dumę, że dzięki niemu fragment kulturalnego dziedzictwa polskiego podniesiony do rangi uniwersalnej urody popłynął na falach eteru. Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do Góreckiego list z dobrą wiadomością, którą się uradował kwitując pismem, w którym kurtuazyjnie wspomniał o mojej poprzedniej korespondencji oraz o tomie wierszy, który przesłałem. Po tym niezwyczajnym sukcesie Góreckiego, wiązałem z nim duże nadzieje nie wiedząc o jego chorobie, a teraz ogromnie żałuję, że nam odszedł tak wcześnie nie doczekawszy się nawet prezentacji swojej „IV Symfonii". Pozostała po nim garść wybitnych kompozycji religijnych oraz zdumiewająca symfonia wstrząsającego smutku.

– Pamiętam, że już wtedy nam powtarzał, że będzie pisał muzykę. Byliśmy młodzi i każdy z nas miał wielkie plany, więc nikt się jego deklaracjom nie dziwił. Było to dla nas oczywiste, że każdy ma duże ambicje – wspominała w rozmowie z „Gazetą" Irena

Krzyszkowska, szkolna koleżanka Góreckiego, pedagog rybnickiej szkoły w klasie fortepianu.

Powiedzieć, że był wtedy ambitny i pracowity, to mało. On był zawzięty. Rano, dla pieniędzy, uczył w podstawówce w Rydułtowach, po południu jechał na zajęcia do szkoły muzycznej, wieczorem – na koncert do Katowic. Gdy nie zdążył na przesiadkę do rodzinnych Rydułtów, spędzał noc – komponując lub śpiąc – na dworcu kolejowym w Rybniku.

Talent i zawziętość przynoszą efekty – Górecki bez problemu zdał na studia do katowickiej akademii muzycznej. Do legendy przejdą słowa słynnego Bolesława Szabelskiego, jego przyszłego nauczyciela i mistrza: – Tak zdolnego ucznia jeszcze nie miałem.

– To, że jestem taki, a nie inny, zawdzięczam temu, że stąd pochodzę – powiedział Górecki kilka lat temu przy okazji odbierania nagrody „za rozsławianie ziemi rybnickiej w świecie”. I dodał: – Nikt sobie czasu i miejsca urodzenia nie wybiera. Otrzymany czas musisz godnie przeżyć, a miejsce szanować i być za nie odpowiedzialny.

Katowice, 20. 1. 97.

Drogi Panie,

chciałem Panu powiedzieć „Dzień Dobry" i podziękować za ostatni list, tomik wierszy („Mały wybór wierszy") i artykuły. Wszystko to bardzo dobre - interesujące - dające dużo do myślenia.

Dzięki!

Rok przed nami na podróżach kolejowych, remontach i dowodach. Niczego nie napisałem - przecież.

Może ten rok będzie łaskawy.

Serdecznie Pana pozdrawiam.

Życzę dużo zdrowia.

H. M. Górecki

H. M. G.
ul. ALFONSA GÓRNIKA 4/1
40-133 KATOWICE

Fatima



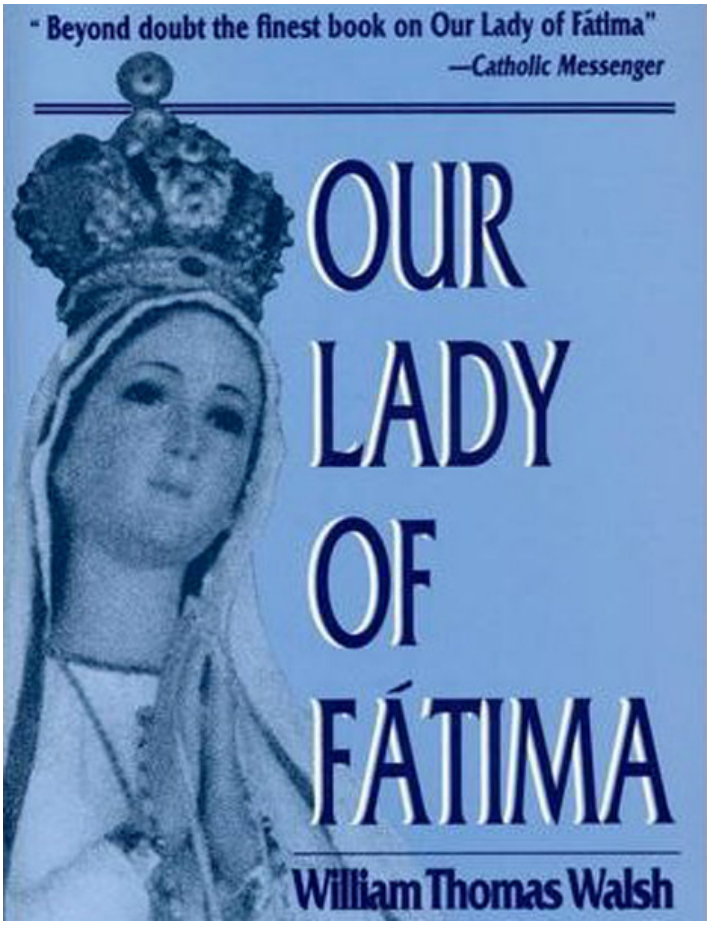
Fatima, Portugalia

Florian Śmieja

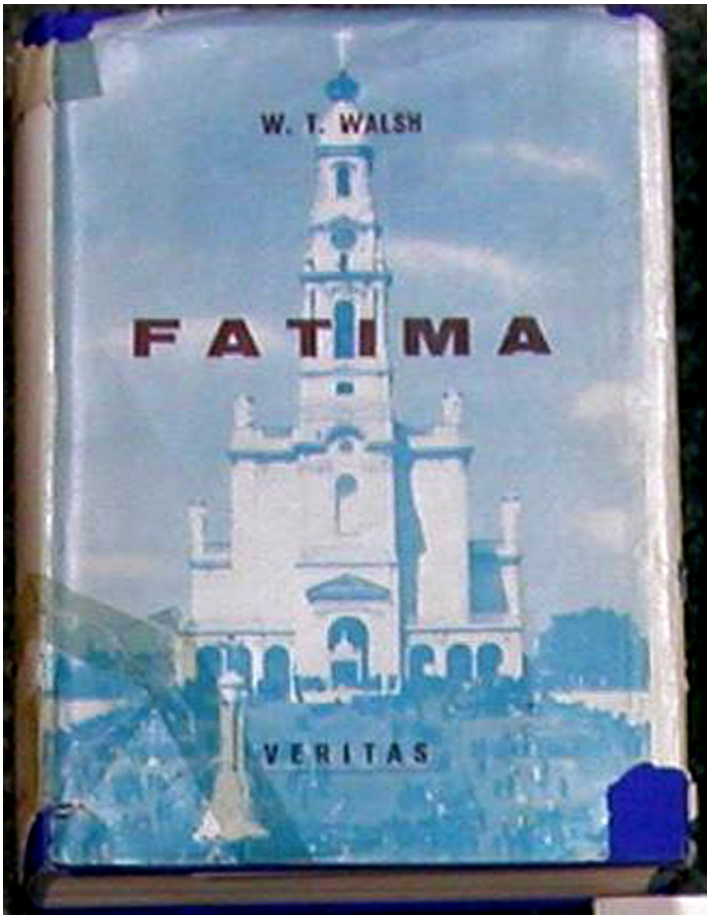
Cały świat katolicki obchodzi stulecie objawień fatimskich. Wielu ludzi wspomina także swoje osobiste spotkania z cudownym zjawiskiem, liczni pielgrzymi i turyści odwiedzili niepozorną miejscowość w środkowej Portugalii, namnożyło się publikacji na sensacyjny temat, dynamicznie wzrósł kult trójki dzieci

wyniesionych w tak cudowny sposób na scenę świata.

W Anglii jeden z redaktorów polskich, bodaj Jan Bielatowicz, zaproponował mi przełożenie amerykańskiej książki o objawieniu Matki Boskiej w Fatimie, niezwykle popularnej, napisanej przez Williama Thomasa Walsha (1891-1049), a ja, żółtodziub, podjąłem się zadania mimo małego doświadczenia i symbolicznej zapłaty. Tłumaczenie stało się moim sposobem ćwiczenia się w dwu językach, wzbogacania jednego i doskonalenia drugiego. Książka wyszła w 1956 roku w Londynie w serii niebieskiej Veritasu, a niedawno wydrukowano w Warszawie jej nowe wydanie.



Popularna książka o Fatimie autorstwa Williama Thomasa Walsha.



Książka o Fatimie Williama Thomasa Walsha w polskim tłumaczeniu Floriana Śmieji wydana w Londynie w 1956 r.

Mój tekst z pewnością pozostawiał dużo do życzenia. Zapamiętałem, że jedna ze starszych pisarek emigracyjnych zobaczywszy książkę, wzięła ją do ręki, a przeczytawszy kilka stron odezwała się do mnie, że zrobiłaby to inaczej, lepiej. Nie była odosobniona w krytyce i sposobie jej wyrażenia. Przyjmowałem uwagi cierpliwie, uznawałem je za cenę, którą płaci się za śmiałość zabierania głosu na publicznej arenie.

Ale potem się zbuntowałem. Za dużo było tych, co by lepiej zrobili. Teraz czekam na następnego krytyka i mądralę. Już wiem, co bym takiemu/takiej odpowiedział. Że on/ona by zrobił/a,

a ja zrobiłem. Różnicę stanowi małe słowo „by”.

Ponoć w PRL-u ten mój przekład był zakazany i poszukiwany, a nawet konfiskowany w prywatnych zbiorach przez UB.



Dzieci, którym ukazała się Matka Boska w Fatimie, w 1917 r.



Pielgrzymki proszących o cud w Fatimie.

Już po ukazaniu się mojego przekładu, zawstydzony, że pisałem o Fatimie nie znając jej, wybrałem się do Portugalii. Była to obecnie mało już pamiętana, samotna wyprawa, uciążliwe noce spędzone na krzesłach w prymitywnych warunkach wczesnych pielgrzymek. Po raz drugi pojechałem do Fatimy z żoną, ale spartańskie warunki jeszcze trwały i wspominamy podobną noc spędzoną na krzesłach nim zmieszaliśmy się z tłumem przed bazyliką w dniu miesięcznej pielgrzymki diecezjalnej z udziałem tego samego biskupa, który przewodniczył pierwszym takim uroczystościom od 13 maja do 13 października 1917 roku. Niestety aparaty fotograficzne wówczas nie posiadały dzisiejszej sprawności i zdjęcia wtedy zrobione wypadły licho. Mamy fotografie procesji z figurą Matki Boskiej Różańcowej przez

zatłoczony plac do katedry. To wszystko, co nam zostało na pamiątkę.

A może tak na Dominikanę?



Santo Domingo, Dominikana

Florian Śmieja

Nigdy nie jest za późno, by znaleźć się na śladach wielkich historycznych postaci. Choć Kolumb zobaczył piękną wyspę karaibską, którą nazwał Hispaniolą, z górą pięćset lat temu, odkrywanie jej egzotycznego uroku jest nadal fascynującym przeżyciem. Nie płynąłem, jak on w kruchej karaweli ze wschodu, a nadleciałem wygodnym odrzutowcem z północy, by zachwycić się cudownością jej północnych brzegów, z których wielki odkrywca szacował wartość i przydatność wyspy. Uniesiony fantazją pisał do papieża, że jest ona zarówno Tarsisem i Scytią, Ofirem, Ofazem i Cipangiem, mitycznymi

miejscami wymarzonymi przez tylu ludzi.

Tymczasem Hispaniola dostarczyła jedynie nieznacznej ilości poszukiwanego przez Hiszpanów złota, lecz stała się bazą dla kolejnych wypraw odkrywczych i kolonizacyjnych. Kiedy założona przez ludzi Kolumba osada Izabela nie przetrwała, Nowa Izabela, usytuowana tym razem na południowym brzegu wyspy u ujścia rzeki Ozama, stała się pierwszym miastem Nowego Świata. Nazwana później Santo Domingo przez kilka wieków była centrum administracji hiszpańskich kolonii, a dziś jest parę milionów mieszkańców liczącą stolicą Republiki Dominikańskiej.

Nie możemy narzekać na brak rodzimych relacji o wyspie, bo już w roku 1803 legioniści gen. Henryka Dąbrowskiego wysłani tam zostali przez Napoleona celem uśmierzenia buntu murzyńskich niewolników. Jeden z żołnierzy Kazimierz Lux po latach wspominał:

> W poczcie Antyli wielkich najżyźniejszą i najbogatszą kiedyś była wyspa Saint Domingo…

Mówi następnie o plantacjach trzciny cukrowej i kawy, a także o wywożeniu z wyspy drzewa mahoniowego. Najpiękniejsze jednak pochwały autor poświęcił tamtejszym kobietom, zarówno białym

Kreolkom jak i Mulatkom.

> Jak tamta, tak ta zachwyca wydatną kibicią, zgrabnym ułożeniem, zajmującymi rysami twarzy, czarującym i pełnym ognia spojrzeniem; każda z tą sama łatwością i zwinnością poruszeń, wabnością, kryje żar gwałtownych namiętności.

Dlatego to po pochwałach piękna i uroków Lux ostrzega czytelnika :

> Nie można tu bezkarnie spędzić obyczajem europejskim bezsennej nocy, czy to w towarzystwie na zabawach, czy w pohulance. Kto z przybyłych do tej wyspy nie hamował się od rozpusty, od tęgich napojów zwłaszcza spirytusowych, a nade wszystko nie unikał sideł piękności Saint Domingo, tak pociągających uroczo i wabnych, ten położył tu kości swoje.

Należało by dziś słowa jego przełożyć na język niemiecki, gdyż wyspę upodobali sobie niemieccy turyści bardzo łasi na te wszystkie niebezpieczne atrakcje.

Odniosłem wrażenie, że na wyspie ceni się spryt. Sprzedający zazwyczaj żąda wygórowanej ceny, spodziewa się targowania.

Ale nie każdy lubi certować się o cenę. Najczęściej więc nie wiadomo, ile dana usługa czy towar są warte. Kiedy w odpowiedzi na nierealistyczną cenę klient robi zdziwioną minę albo odchodzi, handlarz pyta najspokojniej, ile może dać. Wtedy nie ma się pewności, co to znaczy. Czy turysta ma oświadczyć, że stać go na tyle i tyle, czy też wiedząc, ile towar jest wart, wymieni przybliżoną ofertę.



Santo Domingo, Dominikana



Santo Domingo, Dominikana, historyczna, kolonialna część miasta

Powyższe tłumaczenie jest życzeniowe. Kiedy w Santo Domingo zwiedzaliśmy twierdzę Ozama, za bilet wstępu zapłaciliśmy 10 pezów, choć bilet opiewał na 1 peza i miał nadruk, że jest studencki. Inkasent mógł sobie włożyć dziewięć pezów spokojnie do kieszeni. Za lody, za które w szykownym pawilonie zapłaciliśmy 10 pezów, lodziarz z wózkiem na ulicy zażądał 25 pezów. Kiedy odeszliśmy, pogonił za nami i przyniósł lody biorąc po 10 pezów. Amerykański przewodnik, którego wieźliśmy z sobą radził bez ogródek, by jeśli zatrzyma nas drogówka, przyznać się do winy, oczywiście nie popełnionej, uśmiechać się, być jowialnym. Policja nie zrobi krzywdy i lubi kurtuazję. Potrzebuje pieniędzy, nie zarabia wiele. A zresztą ci na górze czynią

podobnie. Jeśli poczytać o prezydentach i generałach to stwierdzimy, że wielu spośród nich było dyktatorami i malwersantami. Nie tak dawno jeszcze jeden z najgłośniejszych z nich, Trujillo, kazał stolicę przemianować na Ciudad Trujillo. Jabłko nie pada daleko od jabłoni.

Istotnie, północne plaże okazały się znakomite, woda o przepięknych odcieniach turkusu i lazuru, soczysta zieleń i błękitne niebo przy niezawodnym cieple i czystym, miękkim piasku stwarzają idealne warunki dla turysty. Dogodnie położone lotnisko koło Puerto Plata ułatwia komunikację.

Wygodnymi i dla turysty niedrogimi autobusami, można pojeździć po kraju i podziwiać nowe krajobrazy i miejscowości. Do stolicy z północy jechało się przez znaczne miasto Santiago wśród plantacji trzciny i owoców mijając góry schodzące wśród pastwisk na równinę nadmorską, w której leży Santo Domingo.



Santo Domingo, Pałac Prezydencki

Znakomite położenie zwabiło konkwistadorów do osiedlenia się przy spokojnym porcie dogodnego ujścia rzeki Ozamy. Tam więc powstały ufortyfikowane siedziby, budynki administracji i przedsiębiorstwa, magazyny, kościoły, klasztory i szpitale. W pięknym, odnowionym pałacu wicekróla Diega Kolumba, najstarszego syna odkrywcy, można sobie wyobrazić kolonialną przeszłość tego centrum organizowania podbojów wysp okolicznych, a następnie lądu stałego, potem zaś zarządzania tymi licznymi i rozległymi terytoriami. Zachowane budowle każą podziwiać piękną architekturę przeniesioną z Półwyspu Iberyjskiego, imponującą katedrę, pierwsze kościoły wzniesione na tej półkuli, romantyczne ruiny klasztoru franciszkanów i ocalałe domy mieszczan z typowymi hiszpańskimi dziedzińcami o bujnej roślinności i miłym chłodzie podsieni. Pozostały ślady po

dawnych, ambitnych uczelniach, w nowszych dzielnicach nowoczesne gmachy świadczą o sporadycznej akcji budowania okazałych siedzib dla muzeów i galerii, godnych stolicy państwa o bardzo mieszanych i smutnych dziejach kolonialnych i dyktatorskich.